

665



„Bestsellerem” teatralnym jest włoska komedia anonimowego autora z XVI w. „Wenecjanka”, w realizacji Teatru im. J. Kochanowskiego w Opolu.
 Na zdjęciu: Teresa Monika Lipowska (Nena) i Ryszard Kotys (Bernardus) w przedstawieniu „Wenecjanki”.
 Zdjęcie: J. Berdak

TEATR SZTUKI

Widz — to ten, co ogląda. Siedzi po przeciwnej stronie aktora, słucha go, podziwia, nudzi się, ziewa, rozmawia z sąsiadem, szeleści (w anegdocie) papierkami od cukierków. Który zapłacił jakieś tam pieniądze za bilet, wygrzebał dwie godziny w pracującym tygodniu, zaprosił żonę, dziewczynę, wujka, siostrę. Zasiadł teraz w fotelu (prawie każdy teatr polski ma już wygodne fotele) — i słucha, patrzy, co też w

teatru greckiego przychodził do amfiteatru na turnieje dramaturgiczne, trwające zwykle kilka dni z rzędu, z własnymi zapasami jedzenia i picia; siedzieli cierpliwie wiele godzin, obserwując zmagania autorów ze sceną, wymyślonym problemem i — ze sobą. Był to bowiem konkurs: kto lepszy, kto dostanie na grodzie — miano Najciekawszego Dramaturga Roku. Konkurs — więc coś bliższego zawodom sportowym

taklu na dzisiejszy wieczór mecz hokejowy w TV.

A spróbujmy może inaczej. Zapomnijmy, że teatr to ten wielki, błyszczący budynek z czystymi ścianami, miękkimi fotelami, z kawą i „Pepsi-Colą” w bufecie. Zapomnijmy, że przyszliśmy tu namówieni przez znajomych, że nie mieliśmy co zrobić z sobotnim wieczorem, że o czym jutro będziemy rozmawiali w kawiarni, że musimy zobaczyć tego aktora, o którym przed wczoraj opowiadała mi Basia, że jest klawy chłopak i ma ładny nos. Zapomnijmy o obowiązku przyjechać do tego gmachu, o obowiązku wbić się w siedmioletni garnitur, w kielce sylwestrową z tamtego

O WIDZACH

tym teatrze „dają”. W przerwie wychodzi na papierosa, poplotkować, pooglądać się za znajomymi, wypić „Pepsi Colę” albo napój firmowy (próbowano kilka razy — wzorem zachodnim — wprowadzić do naszych teatrów alkohol, ale pomysły okazały się zgubny: mało kto wracał po przerwie na widownie).

Widz wie jedno: nie chce się nudzić.

Ale jakże często się nudzi. Pierwsze pół godziny jeszcze wytrzymuje bohater skob. Potem walczy tylko z dobrym wychowaniem, z przyzwoitością, z szacunkiem dla „artystów”, którzy tam, na scenie, męczą się dla niego. Co odważniejsi widzowie ehykliem wymykają się po pierwszych akcie, wstydliwie biorą piaszcz z szatni i oddychają swobodnie już na powietrzu, w drodze do domu albo do innego lokalu rozrywkowego, gdzie jest wprawdzie drożej, ale za to nie nudno.

Oto widz współczesny. Trochę w karykaturze, rysowany grubą krechą, ale mniej więcej prawdziwy. Czy tylko na to jesteśmy skazani? Na siebie takich widzowie starożytnego

(np. olimpiadzie). Do dziś w spadku po tamtych formach teatru zostały nam rozliczne drobniejsze, okazjonalne konkursy: klasyki dramaturgicznej, inscenizacji współczesnych, sztuk rosyjskich i radzieckich, małych form jednego aktora, itp. No i sport — jako wielkie widowisko teatralne. Tak, dziś sport zastąpił tamte starożytne emocje zbiorowe, przeżywane niegdys w amfiteatrach. Dzisiejszymi aktorami, których nazwiska powtarzają wszyscy, są Szewińska, Zasada, Kozakiewicz, Malinowski. Nawet Holoubek, nawet Olbryński przegrywają w rozgrzewaniu widowni z finansującą panią Ireną i panem Bronisławem. A przecież ileż więcej ma do powiedzenia, do przekazania innych, bardziej skomplikowanych emocji właśnie aktor teatralny. Sport — to tylko kwestia: kto wygra. Teatr proponuje także inne przeżycie: kto przegrał (w życiu) i dlaczego. Kto kochał, nienawidził, płakał, krzychał z radości. Ale czy faktycznie często spotykamy się z tymi emocjami w teatrze?

Jeśli nie — to się nudzimy, uciekamy po przerwie, wybieramy zamiast spektaklu

na dzisiejszy wieczór mecz hokejowy w TV. A spróbujmy może inaczej. Zapomnijmy, że teatr to ten wielki, błyszczący budynek z czystymi ścianami, miękkimi fotelami, z kawą i „Pepsi-Colą” w bufecie. Zapomnijmy, że przyszliśmy tu namówieni przez znajomych, że nie mieliśmy co zrobić z sobotnim wieczorem, że o czym jutro będziemy rozmawiali w kawiarni, że musimy zobaczyć tego aktora, o którym przed wczoraj opowiadała mi Basia, że jest klawy chłopak i ma ładny nos. Zapomnijmy o obowiązku przyjechać do tego gmachu, o obowiązku wbić się w siedmioletni garnitur, w kielce sylwestrową z tamtego roku, zapomnijmy o obowiązku grzecznego nudzenia się do końca sztuki. Przyjdźmy do teatru jak do domu, gdzie ktoś organizuje dla nas małe przyjęcie, gdzie będzie się można spotkać i nareszcie pogadać o paru sprawach, wyzaliczyć na kolejki, pogodę i w ogóle ciężkie życie. Przyjdźmy do teatru właśnie jak na rozmowę. Cóż z tego, że mówić będzie na razie tylko tamten stojący naprzeciwko, w świetle reflektorów, wśród jakichś dekoracji. Potem przyjdzie kolej mówienia i na nas. Po spektaklu, w domu, w pracy, we własnych myślach. Umówmy się, może tylko tak na próbę, że teatr współczesny to nie parada gwiazd, to nie szkoła, ani tym bardziej konferencja w zjednoczeniu. Że tu nic nie trzeba. Że tu przychodzi się z własnej woli, że do niczego nie należy się zmuszać. Z wyjątkiem odrobiny dobrej woli: jeśli już w ogóle zdecydowaliśmy się tutaj przyjść.

I jeszcze jedno. Zapomnijmy, dla wspólnego dobra, że teatr jest po to, żeby było lekko, łatwo i przyjemnie.

Nvczek-Szvbist